

Randka w ciemno na „Dzikim Zachodzie”

Można by pomyśleć, że w Wieliczce żyje się idyllicznie niczym na Bahamach, a największym thrillerem jest przetrzymanie przez kogoś książki wypożyczonej z biblioteki. Zaśby tam! – jak drzewiej mawiano na wsi. Choć lud tu nader spokojny, to jednak los lubi robić na przekór. Ostatnio na przykład/np. Internet/internet huczy o rzekomym rozboju z grabieżą w wykonaniu hordy nieokrzesanych hultai. Zaczęło się od tego, że pewna harda wieliczanka, Honorata, miłośniczka taekwondo i Bruce’a Lee, zalogowała się w czasie kwarantanny do portalu randkowego. W mig dała się uwieść pseudocasanowie z Żegiestowa-Zdroju o nicku „Belmondo”. Przedstawiał się jako himalaista, ultra-Europejczyk i supermacho, który nie w prząsnym żurze gustuje, lecz w gazpacho. Miałżeż też mieć charme Clarka Gable’a, nosić lenonki na nosie, popijać mojito na przemian z tequilą, jeździć jasnobeżowym lamborghini, a nadto z rzadka odwiedzać wujów w Trzebini i przeżuwać raz po raz orzeszki pinii. Po około dwuipółmiesięcznym e-flirtowaniu postanowili spotkać się tête-à-tête na pół jawnym, pół tajnym rendez-vous. Dzień później, o wpół do ósmej, przywłókł się na Rynek Górny jakiś charczący rzech (takie niby-cabrio marki „Volkswagen”) wyleasingowany chyba przed upadkiem muru berlińskiego. Z przeżartych rdzą trzewi wehikułu wychynął „bezobjawowy” strongman w szaroburych hajdawerach i niemalże do szczytu zżartej przez mole ramonesce upstrzonej łupieżem, który jak śnieżne confetti/konfetti prószył spod szerniałego kaszkietu. Podrygując niczym spłoszona w pszenżycie białorzytka albo nieopierzony adept breakdance’a, zmierzał do pizzerii „Va Banque”, gdy kątem oka dostrzegł pędzące zwiastuny nieuchronnej katastrofy. Puścił się biegiem, co tylko rozjuszyło rozochoconą watahę. Potknął się i poczuł, że z impetem wjeżdża na dzikiej świni do lokalu. Wewnątrz Honorata, dopijając espresso i nucąc sobie „Scherzo capriccioso” w oczekiwaniu na randkowego playboya, usłyszała nagle łubu-du!/łubu-du, po czym dostrzegła dwugłową bestię o urodzie zsiniałego wieprza. Złapała leżącą nieopodal chochlę i huknęła nią intruza z okrzykiem: - bodajbyś szczeżł! Ogłuszyła jednak tylko jadącego wierzchem pasażera „na gapę”. Locha, zrzuciwszy balast, wparowała z radosną gromadką warchlaków do środka i towarzystwo zaczęło buchtować, ściągając z talerzy wpółmartwych z przerażenia klientów na wpół wystygłe dewolaje/de volaille’e i gnocchi. Trwało to do czasu, aż zhasane bąbelki zaczęły się huścić na żyrandolach. Ludzie rozpierzchli się w okamgnieniu. Donżuan z Doliny Popradu, hycając chybotliwie pomiędzy stołami, chyżo czmychnął w chaszczę i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I tak to z randki w ciemno zrobił się *spaghetti western* w późnojesiennym wielickim entourage’u.